

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego MARYA SEGENY.

2

— Biorę na siebie obowiązek wyjaśnienia jej naszego smutnego położenia, a równocześnie przekonam ją, że na szczęście ja jeszcze tu jestem do odbudowania majątku Kermorów.

Markiz, który dotąd przechadzał się elastycznym, wytwornym krokiem po pokoju, stanął na te słowa przed synem. W oczach jego zabłysła nadzieja.

— Chcesz odbudować majątek naszego domu? Jakim sposobem?

— Tam, gdzie byłem... bogactwa są niezliczone i nie wyzyskane.

— Możliwe — przyznał markiz — I jakiegoż czasu będziesz potrzebował na to?

— Pięciu lat przy sprzyjającym mi szczęściu. W oczach markiza zagasła nagle iskra nadziei, zrodzona przed chwilą.

— To długo... za długo — szepnął rozczarowany — Matka twoja nie znieśli ani jednego roku nędzy... I to z mojej winy. Ha! trudno! Zapłacę sam za to!

Nagły lęk objął duszę Henryka. Spojrzał niespokojnie na ojca.

— Mój synu — rzekł markiz ze spokojem człowieka, który stawia wszystko na ostatnią kartę — wiemy obydwaj, że chwila jest bardzo ważna. Ja jestem dumny, ty zaś posiadasz szlachetne serce. Pomiędzy nami słowa są niepotrzebne. Ja wywołałem to zło, zasłużyłem na ciężkie wyrzuty, wiem to, czynię je sobie bezustannie. Ale teraz zwracam się do ciebie z prośbą, abyś naprawił to zło, które ja wywołałem.

— W jaki sposób?

— Sposób jest uczciwy. Delrue wspominał ci o nim...

— Sydonia? — wyszeptał z trudem młody człowiek.

— Tak.

— Nigdy!

— Dlaczego? Rodzina dobra. Ojciec urodzony bankier, to prawda, ale, jak dotąd, żadna plama nie ciąży na nim. Dziewczyna jest piękna, trochę zarozumiała, ale będzie dekoracyjną panią domu. Pomyśl, że przecież kiedyś ożenić się musisz...

— Ojcie! błagam cię!

— Proszę cię, mów, to konieczne. Czy masz jakie względem tej rodziny zarzuty?

— Nazywają ją „złotą Sydonią“.

— Cóż z tego, tem lepiej, że bogata. A ojciec!

— To spekulant, który zarobił na naszej ruinie.

— Jak bankier.

— I żyd!

— Więc cóż?

— I ty, ojcie, o to się pytasz? Ty! nie rozumiesz tego! Ty, który sprzedałeś wszystko, folwarki, lasy, nawet ten pałacyk, w którym mieszkamy! Ty, dawny żołnierz Francji, nie rozumiesz, że nie wolno mi sprzedać jedynej pozostałości mojej, nazwiska naszego!

Markiz stał bez ruchu, tylko na bładem jego czołe wystąpiły grube krople potu.

Henryk na widok wzruszenia ojca opamiętał się natychmiast, ogromna litość dla tego lekkomyślnego, starego człowieka przezwyciężyła żal i oburzenie.

— Ojcie — podjął po chwili, chcąc złagodzić daną odmowę — chcesz wiedzieć, dla jakiej przyczyny odrzucam rękę panny Sydonii? Otóż kocham inną! Tam, w głębi Afryki, gdzie pragnąłem znaleźć zapomnienie, myśl o niej przepełniała mnie całego! Ona jest niczem w oczach twoich, biedna i bez nazwiska! Ale dla mnie jest wszystkim, bo żyć już bez niej bym nie mógł!

Henryk uczynił to wyznanie, sądząc, że załagodzi obrazę uczynioną ojcu, lecz równocześnie uczuł wyrzuty sumienia, które wskazywało mu, że główną przyczyną odrzucenia związku, mogącego być wybawieniem dla matki i ojca, była nie duma może, ale głęboka miłość, miłość wyłączna i samolubna. Markiz de Kermor przyjął spokojnie tłumaczenia syna, głos jego tylko przybrał twardość, zimne dźwięki, kiedy po chwili odezwał się znów:

— Przyczyna ta jest już w tej chwili dla mnie obojętna. Czyń, jak chcesz! Czynięm gorzej, niż ty czynić zamierzasz. Ale nie wiesz jeszcze wszystkiego. Jesteśmy nie tylko zrujnowani zupełnie, nie tylko zmarnowałem majątek własny i matki twojej, ale dziś wieczorem, a jest to termin ostateczny,

muszę wypłacić sto pięćdziesiąt tysięcy honorowego długu. To więcej, niż ruina, to honor nazwiska, o które ci tak chodzi.

Henryk, milcząc, blady, wpatrywał się w ojca z przerażeniem.

Markiz spokojnie poprawił monokl i mówił dalej:

— Baron de Bressien dostarczyłby mi tej sumy, gdybym miał prawo jej zażądać. Ale nie mówmy już o tem. Zegnam cię, Henryku. Znajdziesz w biurku moim list z ostatnimi zleceniami.

— Jakto? To ty chcesz się zabić, ojcie? — wykrztusił Henryk z trudem.

— Zuchwałe pytanie! Czy mogłeś sądzić, że tego nie uczynię!? — zawołał markiz dumnie.

Lecz w tej chwili Henryk zerwał się i podskoczył do ojca, chwytając go silnie za ramię.

— Chodź, ojcie! — wyrzekł z rozpaczliwym postanowieniem — Chodź! Mam kilka słów do powiedzenia baronowi de Bressien i jego córce w twojej obecności.

— Henryku! Co chcesz uczynić?

Spokojny dotąd markiz drżał teraz ze wzruszenia, wpatrzony w syna z uwielbieniem i ojcowską dumą.

— Chodź, chodź, ojcie!

Weszli razem do buduaru markizy; na ich widok nerwowe drganie przebiegło twarz barona, Sydonia, opowiadająca coś z ożywieniem, zamilkła w połowie zdania.

— Panie baronie — odezwał się z powagą Henryk — wybac mi moją niecierpliwą prośbę, ale chwile mego powrotu i obecność twoja i córki w domu naszym upoważnia mnie do tego. Panno Sydonio, proszę o rękę pani, za którą daję niesplamione niczem nazwisko mojej matki.

— Henryku, Henryku, co to ma znaczyć? — zawołała zdumiona markiza.

— To znaczy, droga żono — przerwał markiz de Kermor — że twój syn zakochany jest oddawna w pięknych oczach naszej przyszłej synowej i z upragnieniem czeka na jej odpowiedź. Sądję, że będzie przychylna, usłyszysz ją tam w sali recepcyjnej, gdzie mieszczą się portrety naszych przodków. Panie baronie, zechciej podać rękę markizie, ja zaś służę pani, panno Sydonio!

W chwili, gdy Henryk de Kermor prosił o rękę panny de Bressien, w tym samym pokoju w ukryciu, osłoniętym parawanem, dał się słyszeć lekki okrzyk, nie zauważony jednak przez nikogo. I gdy tam w sali recepcyjnej, w obecności starych portretów swoich pradziadów, młody hrabia czynił ostateczną ofiarę z miłości swojej, ratując honor ojca, tutaj w ciszy, która zaległa buduar, rozgrywał się smutny dramat młodej duszy.

Janina le Brenn słyszała wszystko. Cios był nadto gwałtowny i nieoczekiwany. W pierwszej chwili osłabła, tracąc świadomość, gdzie się znajduje. Gdy powróciła do przytomności, zupełna ciemność objęła już mały buduar markizy. Nie chciała zaświecić elektryczności, nie chcąc zdradzić swojej obecności. Ale rozkład pokoju znała doskonale. Powstała więc i zapaliła świecę stojącą na kominku. Poczem usiadła przed biurkiem markizy i długą chwilę trwała w bolesnem zamyśleniu.

— Skończyło się wszystko — szepnęła w końcu — Skończył się mój sen złoty! Szalona byłam, mogąc choć na chwilę ludzi się i poddawać bezowocnym marzeniom. A jednak zdawało mi się. Zapomniałam, że hrabia de Kermor nie może poważnie myśleć o biednej robotnicy, przygarniętej przez jego matkę. On ją kocha! A ja? ja? Czyż zdołam przenieść to nieszczęście? — Wsparła głowę na oparciu fotela i płakała cicho, konwulsyjnie.

Dźwięk zegara, wydzwaniającego pierwszą godzinę, powrócił jej świadomość, gdzie się znajduje.

— Nie mam prawa płakać w tym domu — wyrzekła z mocą — i nie powinien tu dłużej pozostać.

Wyciągnęła z szuflady ćwiartkę papieru i pisać poczęła:

„Pani markizo!

Była pani zawsze tak względna i dobrą dla mnie, że łudzę się nadzieją, iż wybaczy mi pani odejście z jej domu bez pożegnania. Błagam tylko panią, nie sądzić, że trafiłaś na niewdzięczną istotę. Jeżeli czynię to, to zmuszona poważnem przyczynami, których wyjawiać nie mogę. Dla tychże samych przyczyn będę zmuszona opuścić mój pokój w dzielnicy Temple. Jest to postanowienie powzięte od kilku dni, a które kosztowało mnie wiele łez i cierpienia. Do ostatniej chwili życia mego pamiętna będzie mi dobroć pani, która raczyłaś obchodzić się ze mną, jak z córką rodzoną. Zegnając Cię

pani, błagam o przebaczenie i przekonanie o mojem pokornem przywiązaniu i wdzięczności.

Janina le Brenn.

Zalepiła kopertę i pozostawiła w widocznym miejscu, następnie ubrała się pospiesznie, wzięła z kominka małego kluczyk, którym otworzyła szklane drzwi, prowadzące do ogrodu. Gdy przechodziła już próg domu, w którym tyle doznała radości i szczęścia, opanowała Janę chwilowa słabość i rozpacz. Lecz wkrótce przezwyciężyła szalony ból, nurtujący jej serce i nie oglądając się już poza siebie, prędko wybiegła do ogrodu.

Wydostawszy się dopiero na ulicę, osłabiona, bezsilna, wsparła się o mur okalający pałac i wybuchła spazmatycznym płaczem.

Na ulicy.

W czasie, w którym Janina le Brenn opuszczała na zawsze pałac Kermorów — Luiza Rieux przebiegała nerwowo pokój swój, przeżywając po raz setny w myślach wypadki ostatnich miesięcy.

Widziała z dokładną wyrazistością ładny pawilonik przy ulicy Sepic, zajmowany przez ojca, byłego komendanta o surowej postawie i łagodnych oczach i babkę staruszkę, opiekującą się nią od śmierci matki. Widziała siebie, młodą, poważną dziewczynę, oddaną z całym zamilowaniem nauce, dzielącą czas pomiędzy pensją a domem, gdzie tak kochano ją i pieszczono.

A teraz?

Wstręt obrzydzenia wstrząsnął jej postacią. Zamknęła oczy, aby nie widzieć ścian tego pokoju, który był świadkiem jej upokorzenia i wstydu. Postanowiła pójść stąd jak najprędzej. Dotknięcie przedmiotów należących do człowieka, za którym poszła w pierwszym popędzie szalonej miłości — przejmowało ją wstrętem i odrazą.

Ale gdzie pójść i jak żyć dalej?

Za młodą, za silną jeszcze była, aby ten pierwszy cios, zadany jej dziecinnej wierze i ufności, mógł zdruzgotać ją zupełnie. Chciała żyć, odrodzić się, odkupić ten pierwszy lekkomyślny błąd młodości! Wewnętrzna jakąś siłą kierowana, ubrała się szybko i wyszła na ulicę, i tu dopiero przeświadczenie samotności swojej i opuszczenia objęło ją całą mocą. Sama wśród nocy, wśród pustych ulic tego wielkiego, prawie nieznanego miasta!

Nie wiedziała, jakim sposobem znalazła się na ulicy Sepic. Czuła tylko, że jest blisko swoich, blisko tego domu, który teraz stał się obcym dla niej.

Szybkim spojrzeniem obrzuciła okna pierwszego piętra, gdzie mieścił się pokój babki i jej sypialnia, okna były ciemne. Ale na dole w kancelaryi ojca świeciło się jeszcze. To ojciec czuwał.

Luiza nie zdawała sobie sprawy z uczucia, jakie ją ogarnęło. Nieobliczalnym ruchem skoczyła naprzód i silnie nacisnęła guzik od dzwonka. Dźwięk dzwonka otrzeźwił ją i nagle ogarnął ją szalony przestach i niemoc.

Ale już było za późno cofać się, nogi jej osłabły, tak, że już nie mogła kroku postąpić. Drzwi otworzyły się. Na progu stanął komendant Rieux z lampą w ręce. Luiza zauważyła, że krótko strzyżone jego włosy były zupełnie białe. Komendant postawił lampę na małym stoliku przy wejściu i przenikliwie, zimno wpatrzył się w córkę, twarz jego pobladła, a ręce drżały gorączkowo. Po chwili ciężkie westchnienie wyrwało się z jego piersi. Przemógł wzruszenie i zapytał cichym, spokojnym głosem.

— Czego tu żądasz?

Luiza zadrżała. Prawdziwy obraz nieszczęścia przedstawił się jej teraz dopiero w całej pełni. Mówiono do niej jak do obcej, jak do intruza, chcąc go zabić spokój cichego domu.

Z pobladłych jej warg wybiegł szepet rozpaczliwy.

— Ojcie! Przebaczenia i litości! Nie patrz tak na mnie. Powracam do was, niegodna ciebie, ale tak nieszczęśliwa! Nie wiedziałam, co robię! Posłuchaj! Spotkałam tego człowieka i pokochałam go... wierzyłam w niego... Później, później dopiero, okropna prawda...

— Nazwisko jego?

Uczepiła się konwulsyjnie jego ręki i błagalnymi oczami wpatrzyła się w tę twarz surową, naznaczoną cierpieniem.

— Nazwisko jego? Odpowiadaj!

Nie знаła go! Nie znała! Nazywała Andrzejem, oto wszystko.

Płomień wściekłości rozblysnął w oczach komendanta i grube żyły wystąpiły na jego czoło. Brutalnie odepchnął córkę od siebie.

— Ojcie! zlituj się!

— Nazwisko tego nędznika!